

Lech Miodek

RELACJE STANY ZJEDNOCZONE – AMERYKA ŁACIŃSKA

Potrzebny jest nowy sojusz z Ameryką Łacińską.

*To, co dobre dla narodów Ameryk
jest dobre dla Stanów Zjednoczonych*

Barack Obama

Barack Obama nigdy w Ameryce Łacińskiej nie był, ale uczył się języka hiszpańskiego. W czasie kampanii wyborczej proponował nową strategię wobec Kuby, nową Inicjatywę na rzecz Bezpieczeństwa dla zwalczania handlu narkotykami, korupcji i przestępczości, coroczne spotkania "na szczyt" i Sojusz Energetyczny dla Ameryk.

Latynoamerykanie mieszkający w Stanach Zjednoczonych tradycyjnie już oddawali swoje głosy demokratom. W ostatnich wyborach, na G.W. Busha głosowało 39% Latynoamerykanów. Z przeprowadzanych ankiet wynikało, że na Obamę gotowych było oddać swój głos 60% Latynoamerykanów, natomiast na McCaina – 30%.

W lipcu 2008 roku, John McCain udał się z wizytą do Meksyku. Barack Obama zapowiedział od razu, że ten kraj też wkrótce odwiedzi. Choć wizyty tego rodzaju nie są czymś nadzwyczajnym, to w kampanii prezydenckiej w USA występują po raz pierwszy.

Stany Zjednoczone, które tradycyjnie poświęcały małą uwagę swoim sąsiadom z Południa, tym razem mają do czynienia z demokratyczną przestrzenią w tym regionie świata, za wyjątkiem Kuby i "kłopotami" w relacjach z Wenezuelą i Boliwią. Większość krajów uprawia "ortodoksję" gospodarczą, niezależnie od ideologii głoszonej przez swoich przywódców.

Co McCain i Obama myślą o Ameryce Łacińskiej?

Ameryka Łacińska nie była głównym tematem wystąpień obu kandydatów. Była jednak w nich obecna, powiedziałbym że nieco więcej niż w tradycyjnej formie. Nie sposób bowiem obejść się w wystąpieniach bez wymieniania Kuby i Wene-

zueli w działaniu polityka zagraniczna. O innych krajach, za wyjątkiem Brazylii, Meksyku i Chile, mówiło się bardzo sporadycznie.

W maju br. McCain powiedział: "Moim zamiarem jest zapobiec temu, aby Wenezuela i Boliwia weszły na drogę porażki, taką bowiem drogę Castro "wybrukował" dla Kuby, i zacieśnić więzy z kluczowymi państwami regionu – Brazylią, Peru i Chile". W licznych kołach politycznych w Ameryce Łacińskiej te słowa uznane zostały za zapowiedź kontynuacji dotychczasowej polityki USA wobec regionu.

Odnosząc się do samej Kuby, McCain stwierdził jednoznacznie: "Wyzwaniem będzie starać się o wyzwolenie tej przepięknej wyspy spod jednego z najbardziej represyjnych reżymów w historii, który nie tylko gnębi naród kubański, ale cały czas stara się być państwem, które popiera terrorizm".

Ze swej strony, Barack Obama uważał, że "czas nawiązać bezpośrednie relacje dyplomatyczne tak z przyjaciółmi, jak i z wrogami, bez żadnych warunków wstępnych (musiało to wywołać liczne wątpliwości). Nasz kalendarz będzie wolny. Jednak to ja jako prezydent decydować będę o czasie i miejscu działania naszej dyplomacji, zawsze w interesie Stanów Zjednoczonych i narodu kubańskiego".

Jeszcze jako prezydent, występując w debacie telewizyjnej z Hillary Clinton, Barack Obama stwierdził, że w polityce wobec Kuby Stany Zjednoczone poniosły porażkę. Powtórzył więc stanowisko wypowiedziane w tej samej CNN w roku 2003, kiedy skrytykował embargo nałożone na Kubę w roku 1962. "W izolowanej Kubie – powiedział Obama – nie odnieśliśmy sukcesów w takich sprawach jak prawa polityczne i wolności osobiste, tak ważne dla Kubańczyków".

W czerwcu br., Barack Obama udzielając wywiadu Jorge Ramosowi (dziennikarz meksykański, prezenter Noticiero Univisión, uważany przez

"Time" za jednego z 25 najbardziej wpływowych Latinoamerykanów w USA; wywiad publikowany w chilijskim "El Mercurio" z 11 czerwca 2008) ustosunkował się szerzej do problematyki latinoamerykańskiej. Prasa amerykańska bowiem wielokrotnie podnosiła, że Obama sprzeciwia się układowi o wolnym handlu USA-Kolumbia negocjowanemu przez oba rządy, a nawet chętnie by przystąpił do renegocjacji takiego układu z Meksykiem. Tym niemniej Obama był stanowczy w uznaniu "naturalnych więzów między Stanami Zjednoczonymi a Ameryką Łacińską". Jego zdaniem: "Jak tylko zakończy się wojna w Iraku, naszą uwagę skierujemy na Amerykę Łacińską". Dla potwierdzenia powagi tego oświadczenia, Barack Obama wymienił całą listę spraw w relacjach z regionem, co miało świadczyć o tym, że nie zamierza postępować tak jak G. W. Bush po 11 września 2001 roku. Lista ta zawiera: "podjęcie rozmów z naszymi wrogami na Kubie i w Wenezueli (...), zniesienie restrykcji w podróży na Kubę dla tych, którzy tam mają rodziny (...), przyłączenie się do takich krajów jak Brazylia, w poszukiwaniu źródeł czystej energii". "Zaakceptowałem układ o wolnym handlu z Peru – mówi Obama – ale sprzeciwiam się takiemu układowi z Kolumbią do czasu, aż mnie przekonają, że nie zabijają już przywódców związkowych".

W ocenach obu kandydatów, Chávez stanowi groźbę dla regionu. Potwierdzeń takich opinii obaj kandydaci daleko nie musieli szukać. Częste wizyty w Rosji, zakupy broni w Moskwie i wspólne rosyjsko-wenezuelskie manewry morskie na Karaibach zaplanowane na listopad 2008 r., po wydarzeniach sierpniowych w Gruzji, mogły być aż nazbyt przekonujące. McCain: "Uważam, że Hugo Chávez jest niebezpieczny dla regionu (...). Najlepszym sposobem kontrolowania jego działań jest uniezależnienie się od jego ropy naftowej (...)."

Według Baracka Obamy: "Jego (Chaveza) niebezpieczna mieszanka antyamerykańskiej retoryki, autorytarnych rządów i subiektywnej dyplomacji zawiera te same fałszywe obietnice, co upadłe ideologie w przeszłości. Tymczasem, Stany Zjednoczone są tak izolowane od reszty Ameryki, że nie tylko nie wystąpiły przeciw tej zjełczałej wizji, ale znalazła ona akceptację w Boliwii i Nikaragui".

W świecie latinoamerykańskim kandydatura Baracka Obamy była przyjmowana bardzo przychylnie. Podkreślano jego wysokie walory intelektualne, młodzieńczy wigor i styl kontrastujący z innymi politykami, zdolność do przyznawania się do swoich słabości i nieunikania bezpośrednich odpowiedzi w sytuacjach kłopotliwych. Na przykład, kiedy pojawił się problem rasizmu (na tle wypowiedzi jego pastora), wygłosił przemówienie, które zostało uznane za najlepsze, jakie kiedykolwiek zostało wygłoszone na ten temat.

W zakresie polityki zagranicznej, doświadczenie Baracka Obamy jest prawie żadne. Jego wypowiedzi na temat przyszłej polityki międzynarodowej Stanów Zjednoczonych uważa się w kołach latinoamerykańskich za naiwne, jak na przykład zapowiedź natychmiastowego wycofania wojsk z Iraku czy spotkania się z prezydentem Iranu.

W Ameryce Łacińskiej Barack Obama nigdy nie był. Uważano to za fakt niekorzystny w świetle rywalizacji w USA między ludnością murzyńską i latynoską. W okresie wyborów wstępnych, Obama demonstrował swój sprzeciw wobec układów o wolnym handlu z Ameryką Środkową (CAFTA) czy Kolumbią, w proteście wobec złego traktowania w tym kraju przywódców związkowych (Obama ma silne poparcie związkowe w USA). Gotów był nawet poddać jednostronnej rewizji układ o wolnym handlu z Meksykiem argumentując, że: "układy te powinny zawierać mocne standardy związkowe, z zakresu ochrony środowiska i bezpieczeństwa". Przypominano, że Obama opowiedział się za budową muru na granicy USA z Meksykiem, ale że gotów był złagodzić sytuację osób przebywających w USA nielegalnie. Głosów latinoamerykańskich mógł mu przysporzyć fakt, że nie był nie tyle kandydatem afroamerykańskim, co kandydatem na rzecz "zmian".

Kim są ludzie z otoczenia Obamy?

Zwycięstwo Obamy oznacza, że nowa ekipa będzie kierować rządem federalnym, jego Kancelarią i Partią Demokratyczną. Wielu dotychczasowych członków kierownictwa Partii Demokratycznej szukać będzie azylu w Brookings Institution i jej podobnym. Wśród jego najbliższych współpracowników

owników znajdują się m.in. Austin Goolsbee, profesor Uniwersytetu Chicago, który najprawdopodobniej stanie na czele zespołu doradców ekonomicznych prezydenta, specjalista od podatków, Jeffrey Liebman, profesor Uniwersytetu Harvard, specjalista od kredytów hipotecznych i ekonomista David Butler, który uważa, że wynagrodzenie lekarzy powinno być uzależnione od wyników leczenia. W składzie zespołu znajdzie się także Jason Furman, ekonomista, który już pracował w ekipie Billa Clintona i Johna Kerry'ego, zwolennik wolnego handlu i obniżenia podatków korporacyjnych.

Plany kandydata demokratycznego na rzecz "zmian" są najbardziej konkretne w jego determinacji wyjścia z Iraku. Wokół siebie zjednoczył wielu przeciwników interwencji amerykańskiej w Iraku, jak Tony Lake, doradca B. Clintona ds. bezpieczeństwa narodowego, który ciężko pracował, aby doprowadzić do pokoju na Bałkanach. Od Hillary Clinton, Obama przejął poparcie tak wybitnych postaci jak Madeleine Albright i Richard Holbrooke.

Trudniej jest prowadzić politykę, aniżeli tworzyć teorie. Główną postacią w zespole politycznym Obamy jest David Axelrod, który przekształcił słowo "zmiany" w temat kampanii prezydenckiej. W pracy z Kongresem ma pomagać Obamie Tom Daschle, były przywódca większości w Senacie.

Konwencje demokratów i republikanów lekcją dla Ameryki Łacińskiej

Konwencje były kulminacją najnowszych procesów zachodzących w demokracji amerykańskiej. Różnica, w porównaniu z przeszłością polegała m.in. na tym, że tym razem "amerykański sen" mógł zrealizować się po raz pierwszy w historii w wyborze Afroamerykanina na najwyższy urząd w kraju. Powyższe potwierdza nie tylko traktowanie "snu" w kategoriach realnych, ale podejście do różnic rasowych, którym nie tak dawno przypisywano olbrzymie znaczenie jako *non issue*. Chodziło natomiast o programy, za którymi stoją różne sektory społeczeństwa amerykańskiego.

Barack Obama zaproponował społeczeństwu "zmiany". McCain i Sarah Palin – bronili wartości, które także uosabiają "zmiany", ale w znaczeniu

odnowy wartości indywidualnych zawartych w koncepcjach prawicy i centroprawicy.

Wizje obu dominujących w USA sposobów myślenia znalazły swoje odbicie w problematyce socjalnej, ekonomicznej i w tym, co moglibyśmy nazwać ogólnie "wartościami". Historycznie, zmiana władzy w USA nigdy nie oznaczała wielkich zmian w życiu obywateli. Istnienie dwóch dominujących sposobów myślenia nie oznacza, że inne nie mogą uczestniczyć w wyborach i wysuwać swoich kandydatów.

Demokraci skoncentrowali swoją uwagę na tak bliskim społecznościom latynoamerykańskim nierównościach społecznych, krytyce wojny w Iraku i potrzebie zmiany wizerunku USA za granicą.

Republikanie, natomiast, skoncentrowali swoje propozycje na zwróceniu społeczeństwu zdolności do decydowania, zmniejszeniu wielkości i prerogatyw państwa, umacnianiu patriotyzmu i dumy z dotychczasowych osiągnięć, włącznie ze zwycięskim zakończeniem wojny w Iraku.

Co mogło zwrócić uwagę obserwatorów obu konwencji?

Jakość wystąpień i głębokość propozycji. Wystąpienia szerokotematyczne, świetnie przygotowane przez zespoły doradcze. Kierowanie się maksymą, że opinia publiczna domaga się konkretyzacji każdej propozycji. Bezlitosna, wzajemna krytyka oponentów, przy zachowaniu zasady, że amerykańska opinia publiczna nie akceptuje wzajemnego dyskwalifikowania się. Brudna gra przestała przynosić korzyści. Interwencja urzędów publicznych na rzecz jednej ze stron jest nie do przyjęcia. Odnosi się wrażenie, że udział obywateli w procesach wyborczych w Stanach Zjednoczonych stał się faktem.

Superstruktury władzy gospodarczej, politycznej i społecznej w USA ustępują przed wrotykiem obywateli. Już niekoniecznie wsparcie ze strony wielkich sieci komunikacji masowej i znanych osobistości ze świata kultury i sportu może wpłynąć na wynik wyborów. Siłę głosu społecznego w USA zauważył już w przeszłości Alexis de Tocqueville, który w latach 1835-1840 napisał pracę, która należy do kanonu obowiązkowych lektur dla wszystkich teoretyków politycznych – "Demokracja w Ameryce". Już wówczas wskazy-

wał on na wpływ "rozumu społecznego" na formowanie się władzy publicznej w tym kraju.

Na obie konwencje przyjechało wiele znakomitości politycznych z różnych krajów. Byli wśród nich byli prezydenci, ministrowie, a także, jak w przypadku Polski, osoby, które zamierzają uczyć się "poprawiania wizerunku" najwyższego urzędu w państwie. Ale byli także studenci, wysyłani przez uniwersytety z misją "podpatrywania demokracji amerykańskiej", bo to może przynieść konkretne i wymierne korzyści ich krajom już w niedalekiej przyszłości. Jest to niezaprzeczalny przykład myślenia perspektywicznego, a nie zamknięcia się dla szukania formuł ratowania pozycji partyjnych w kraju.

Obserwacje trojga studentów Uniwersytetu Diego Portalesa (Chile) z pobytu na Konwencji Demokratów

Obserwacje trojga studentów warto przytoczyć, jako że zawarta jest w nich nie tylko opinia młodych ludzi o stanie demokracji amerykańskiej, ale także o stanie demokracji chilijskiej, tak często stawianej za przykład do naśladowania dla innych krajów regionu. Można się z nimi zapoznać w "El Mercurio" z 31 sierpnia 2008 roku.

W czasie tygodniowego pobytu w USA kilkoro studentów nauk politycznych, dziennikarstwa i prawa pracowało w CNN i Univisión, uczestniczyło w seminariach międzynarodowych i poznało od wewnątrz mechanizmy Konwencji Demokratów.

Według nich Barack Obama potrafił pokonać powszechnie występujący wśród młodzieży brak zainteresowania polityką. W Chile próbuje to zrobić Sebastian Piñera (kandydat na prezydenta centrowej Odnowy Narodowej w wyborach prezydenckich 2009). Jego przesłanie jest jednak adresowane głównie do adeptów przedsiębiorczości i zwolenników wolnego rynku. Możliwymi kandydatami lewicy i centrolewicy mogą być znane osobistości polityczne Concertación, którym na głosie młodzieży, według nich, specjalnie nie zależy. Partie stawiają bowiem na swój "żelazny" elektorat. Brakuje kreatywnych kampanii takich, jak "Rock the Vote" (koncert rockowy zachęcający młodych do głosowania).

W Stanach Zjednoczonych, od wyborów prezydenckich 2000 roku, ciągle wzrasta ilość głosów oddawanych przez osoby w wieku od 18 do 35 lat. Organizacja kampanii zachęcających młodzież do głosowania wymaga, według nich, zdecydowanego umocnienia się partii jako organizacji społecznych. W warunkach powszechnego braku zaufania do partii, trudno jest liczyć na wzrost elektoratu młodzieżowego. "W polityce chilijskiej brak jest przestrzeni, w której młodzi ludzie mogliby zdobywać doświadczenie. Konwencje Demokratów i Republikanów, ze swoimi spotkaniami i seminariami są doskonałą płaszczyzną dla rozwoju talentów politycznych". W sierpniu br. mogliśmy dowiedzieć się, że przyszłe kadry polityczne jednej z polskich partii uznały wypełnione alkoholem "spotkanie integracyjne" za najlepszą formę przygotowywania się do obejmowania w przyszłości odpowiedzialnych stanowisk publicznych w kraju.

Propozycje programowe demokratów dotyczyły głównie dwóch płaszczyzn: gospodarki i bezpieczeństwa. Zmniejszenie zależności od ropy naftowej stało się celem do realizacji w ciągu 10 lat poprzez zainwestowanie 150 miliardów dolarów w rozwój energii odnawialnych. Jest to także temat dla wielu gospodarek latynoamerykańskich.

Gigantyczny deficyt fiskalny USA osłabia gospodarkę i sprzyja pogłębianiu nierówności. Obama proponuje reformę podatkową sprzyjającą 95% pracujących rodzin (*working families*), którą sfinansowałyby firmy i osoby o wysokich dochodach.

Stany Zjednoczone są bardzo wyczerpane na punkcie bezpieczeństwa. Istnieje zgodna opinia co do potrzeby zwalczania terroryzmu. Większość Amerykanów podziela opinię o osłabieniu pozycji Stanów Zjednoczonych w świecie. Propozycje demokratów idą w kierunku większej współpracy międzynarodowej, większego wykorzystywania dyplomacji i dialogu. Są one bliższe krajom Ameryki Łacińskiej, aniżeli republikańskie. Umocnienie się imperialnych tendencji w polityce zagranicznej Rosji, jej nieodparte chęci do rewanżowania się na Stanach Zjednoczonych za decyzję o instalacji tarczy antyrakietowej w Polsce, "odbijanie" terytoriów postradzieckich, może zachęcić przywódców rosyjskich do podjęcia prób ponownego wejścia ze swoimi bazami wojskowymi na teren

Kuby, a także Wenezueli i Nikaragui. Powstrzymanie ekspansji rosyjskiej w regionie Ameryki Łacińskiej może stać się poważnym wyzwaniem dla Waszyngtonu, wpłynąć na rezultaty wyborów, a w Ameryce Łacińskiej rozpocząć zmodyfikowaną fazę "zimnej wojny", której demokracje kontynentalne są przeciwne.

Komplikacje w relacjach hemisferycznych

Wrześniowe (2008) protesty przeciwko prezydentowi Boliwii Evo Moralesowi i jego projektowi konstytucji socjalistycznej przekształciły się w regionalny kryzys dyplomatyczny. La Paz ogłosiło ambasadora USA Phillipa Goldberga *persona non grata* oskarżając go o konspirowanie z opozycją. Waszyngton odpowiedział podobnym posunięciem wobec ambasadora Boliwii dodając, że tego rodzaju postępowanie może zaważyć na relacjach handlowych i pomocy USA dla Boliwii. Sytuację pogorszył konflikt z prezydentem Wenezueli Hugonem Chavezem, który na znak solidarności z Boliwią, zażądał od ambasadora USA opuszczenia Caracas, a nawet zagroził wstrzymaniem dostaw ropy naftowej do Stanów Zjednoczonych.

Tak Evo Morales jak i Hugo Chávez są zainteresowani pozostawaniem u władzy jak najdłużej, a najlepiej – wiecznie i nawzajem sobie w tym pomagają. Prawdę mówiąc mało ich obchodzi przyszłość własnych narodów. To, co się liczy przede wszystkim to populistyczna ideologia. Wyrzucając ambasadorów USA zwiększają swoją popularność w społeczeństwach, które pamiętają odwieczne mieszanie się Stanów Zjednoczonych w sprawy wewnętrzne ich krajów. Jednak zanim do tego doszło, Evo Morales zwrócił się do rządu amerykańskiego z prośbą o dodatkową pomoc finansową i przywileje celne. W tym miejscu warto zacytować fragment wypowiedzi McCaina z wywiadu dla Kennetha T. Walsha ("El Mercurio" z 16 września 2008), w którym powiedział: "Wysyłałyśmy 700 miliardów dolarów rocznie do krajów, które nas nie lubią".

Obaj, Morales i Chávez doprowadzali do uchwalenia nowej konstytucji, nie sprzyjają własności prywatnej, a kiedy tylko mogą – nacjonalizują ją, wiążą się z najbardziej autorytarnymi i totalitarnymi reżymami na świecie. Czy tak ma wy-

glądać socjalizm XXI wieku w ich wydaniu? Obaj napotykać silny opór wewnętrzny. Boliwia znalazła się u progu wojny domowej. Chávez nie może sobie poradzić z oskarżeniami o pomoc dla terroru uprawianego przez FARC i finansowe wsparcie kampanii wyborczej Cristiny Fernández. Okazuje się, że dyplomacja może być narzędziem populizmu nawet w naszych czasach.

W wyniku wielomiesięcznego śledztwa Departament Skarbu USA postanowił zamrozić konta trzech obywateli Wenezueli, którzy byli zaangażowani w zbieranie i przechowywanie funduszy dla FARC. Chodzi mianowicie o dyrektora wywiadu wojskowego Wenezueli Hugona Armando Carvajala Barriosę, dyrektora wywiadu i usług prewencyjnych Henry'ego de Jesús Rangola Silvē i byłego ministra spraw wewnętrznych Ramona Rodrigueza Chacín.

Czy rzeczywiście Wenezuela mogłaby wstrzymać dostawy ropy naftowej do USA, czym groził Chávez i jakie to mogłoby mieć konsekwencje?

Niezależni eksperci wenezuelscy twierdzą, że w Wenezueli wydobywa się dziennie 2 300 000 baryłek, z czego 1 600 000 przeznaczają się na eksport, w tym do USA – 1 000 000 baryłek. Przynosi to Wenezueli dochody w wysokości 50 mld USD rocznie. Eksport ropy naftowej i pochodnych stanowi 90% całości eksportu Wenezueli, 50% całości dochodów skarbu państwa.

Natomiast dla Stanów Zjednoczonych import ropy wenezuelskiej to 8-10% importu ropy ogółem. Nie tak dawno, bo w roku 1998, Wenezuela była pierwszym dostawcą ropy do USA. Dzisiaj jest piątym: za Kanadą, Arabią Saudyjską, Meksykiem i Nigerią. W przypadku wstrzymania dostaw, głównym poszkodowanym byłoby Caracas. Po pierwsze, dlatego, że USA mogłyby ją sprowadzać z rynków alternatywnych – Kolumbii i Emiratów Arabskich. Po drugie, problemem jest skład chemiczny ropy wenezuelskiej, uważanej za "bardzo ciężką" ze względu na dużą zawartość siarki i zanieczyszczającą środowisko. Rafinerie PDVSA znajdują się na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Na całym świecie jest mało rafinerii zdolnych do przetwarzania ropy wenezuelskiej. Dlatego wstrzymanie dostaw wenezuelskiej ropy do USA mogłoby spowodować kryzys go-

spodarczy w Wenezueli i niewyobrażalne konsekwencje polityczne.

Chávez postanowił jednak wykorzystać słabą pozycję amerykańskiego prezydenta w świecie i socjalistycznymi hasłami umacniać swoją pozycję wśród marginalizowanych narodów świata. Boliwia okazała się być na to bardzo podatna. Podziały etniczne, różnice regionalne, ekonomiczne, społeczne i rasowe są podstawą niezadowolenia wielu sektorów społecznych, które widzą w Moralesie szansę na zmiany. Jednak jego własna wizja polityczna "solidarności socjalizmu boliwariańskiego" zamiast prowadzić do współpracy między dotąd zwalczającymi się siłami, prowadzi do niebezpiecznej, trudnej do kontrolowania, konfrontacji. Zaniepokojone sytuacją kraje Ameryki Południowej postanowiły zwołać do Santiago nadzwyczajne posiedzenie UNASUR - Unii Krajów Południowoamerykańskich, powstałej w maju 2008 roku, z inicjatywy Hugona Chaveza, jako alternatywy dla OPA.

Deklaracja UNASUR o sytuacji w Boliwii

Do zwołania nadzwyczajnego posiedzenia przywódców krajów UNASUR w Santiago (Chile przewodniczy tej organizacji *pro tempore*) doszło na ustną prośbę prezydenta Evo Moralesa. Z prawnego punktu widzenia, powołać się na Kartę Demokratyczną po to, aby usprawiedliwić podjęcie działań zbiorowych wobec jednego z członków organizacji może OPA, a nie UNASUR, która w swoim jeszcze nie obowiązującym akcie założycielskim nie przewidziała takiej możliwości ani też nie zagwarantowała sobie niezbędnych ku temu atrybutów. W tym sensie, działania południowoamerykańskie nie były ani adekwatne, ani właściwe. W latynoamerykańskiej doktrynie prawnej ciągle mocno jest zakorzeniona zasada nieinterwencji w sprawy wewnętrzne i poszanowania suwerenności innych państw.

Przyjęta 15 września 2008 roku deklaracja składa się z dziewięciu punktów, z których osiem zawiera wyrazy poparcia dla rządu boliwijskiego. Poparcie dla wybranego rządu i potępienie prób destabilizacji jest logiczne z punktu widzenia prawnego i politycznego. Tym niemniej powstaje pytanie, czy działalność wybranego rządu spełnia warunki, jakie nakłada Karta Demokratyczna na

rządy krajów sygnatariuszy tak, aby można było ją uznać za zgodną z kryteriami demokracji. Ten niezwykle istotny element został w deklaracji pominięty. Mówi się natomiast o integralności terytorialnej, nie odnosząc się do decentralizacji, możliwości przyznania autonomii. Żaden z rządów latynoamerykańskich nie jest bowiem zainteresowany tworzeniem precedensów mogących burzyć ustalony porządek społeczno-polityczny. To, co w deklaracji ma najwyższą wartość, to wyrażona przez sygnatariuszy solidarność z Boliwią i gotowość uczestniczenia w dialogu prowadzącym do pokoju i stabilizacji wewnętrznej w tym kraju.

Krytyka Organizacji Państw Amerykańskich

Kryzys boliwijski potwierdził nieskuteczność tej organizacji regionalnej do rozwiązywania sytuacji, w których rozwiązywaniu miałyby pomagać. Jej sekretarz generalny, Chilijczyk, José Miguel Insulza, stwierdził w wywiadzie radiowym, że: "trzeba się przyzwyczaić do tego, że tematy będą omawiane w OPA i w UNASUR".

Rzetelna ocena roli OPA w tym przypadku wymaga uwzględnienia przynajmniej dwóch elementów: powszechnych, prosocjalistycznych lub populistycznych nastrojów w regionie oraz faktu, że J. M. Insulza jest jednym z kandydatów Concertación w najbliższych wyborach prezydenckich w Chile. Jakakolwiek jego nieostrożność polityczna mogłaby zaważyć na losach kandydatury. Stąd, być może, bierze się jego mniejsze zaangażowanie oficjalne i większe nieoficjalne (rozmowy w La Paz), nie mówiąc już o takim czynniku jak Stany Zjednoczone. Przedstawiciele lewicy latynoamerykańskiej podnoszą przy okazji kwestię nadmiernych wpływów USA w OPA i jej przerosniętej biurokracji. Prawica uważa, że OPA jest jedynym organizmem kompetentnym do szukania rozwiązań kryzysu boliwijskiego. Jednak w tym przypadku została wyprzedzona przez UNASUR. "Oby to nie było świadectwem siły osi kubańsko-wenezuelskiej pod przywództwem Hugona Chaveza" – powiedział Hernán Larrain, wpływowy senator chilijskiej UDI (Niezależna Unia Demokratyczna). O wiele odważniej zachował się José Miguel Insulza otwierając obrady Międzypaństwowego Forum Pokoju w Waszyngtonie, 23 września br. Wezwał bowiem do nie przenoszenia kon-

fliktów między wielkimi mocarstwami na teren Ameryki Łacińskiej. "Należy powstrzymać wzrost wydatków na zbrojenia" – oświadczył. Prezydent Kostaryki Oscar Arias dodał, że "absurdem jest, aby region wydawał rocznie 40 mld USD na zakupy broni i wyposażenie wojsk".

Sukces ma wielu ojców

W wystąpieniu na konferencji prasowej, minister spraw zagranicznych Chile Alejandro Foxley podkreślił, że deklaracja UNASUR jest zbiorowym sukcesem 12 krajów wchodzących w skład organizacji. Zdania tego nie podzielił minister spraw zagranicznych Wenezueli Maduro, który w nocy do gospodarza spotkania dał wyraźnie do zrozumienia, że był to osobisty sukces prezydenta Wenezueli.

W tym samym czasie, naczelny dowódca wojska boliwijskiego generał Luis Trigo wyraził oburzenie "nieszczęśliwymi" deklaracjami prezydenta Wenezueli, które - jego zdaniem – naruszały honor i integralność boliwijskich sił zbrojnych – "bastionu demokracji i zachowania jej instytucji". Chodziło mu o wystąpienie Hugona Chaveza z 11 września br., w którym zapowiedział on "organizację manifestacji w Boliwii przeciw próbom obalenia Evo Moralesa". Generał Luis Trigo uznał to za mieszanie się w sprawy wewnętrzne kraju i stwierdził, że wszelkie takie próby spotkają się z odporem wojska, bez względu na to, z jakiego kraju by nie pochodziły.

Wenezuelskie starania o sianie niepokoju w regionie na tym się nie kończyły. We wrześniu br. Human Rights Watch ogłosiła 273 stronicowy raport na temat przestrzegania praw człowieka w Wenezueli, w okresie grudzień 2006 – lipiec 2008 roku. Raport obejmował: dyskryminację polityczną, sądownictwo, środki komunikacji, związki zawodowe, społeczeństwo obywatelskie i przyszłość demokracji wenezuelskiej. Jego konkluzje sprowadzały się między innymi do stwierdzenia, że "dyskryminacja polityczna w Wenezueli za prezydentury Chaveza ma charakter definitywny", "swoboda wyrażania myśli poddawana jest kontroli", a także "obrońcy praw człowieka są poddawani procesom karnym na podstawie spreparowanych oskarżeń". Przedstawiając raport J. M. Vivanco powiedział, że: "zwalczając opozycję po-

lityczną, aby umocnić swoją władzę, rząd prezydenta Chaveza osłabił instytucje demokratyczne i gwarancje praw człowieka w Wenezueli". Na reakcję Hugona Chaveza nie trzeba było długo czekać. Dyrektor regionalny HRW na Amerykę Łacińską, adwokat chilijski José Miguel Vivanco został oskarżony o "naruszenie norm konstytucyjnych Wenezueli" i natychmiast deportowany z Caracas pod zarzutem realizacji "imperialnej" polityki Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej. Oburzenie opinii chilijskiej i latynoamerykańskiej wywołało nie tylko sam fakt deportacji, ale i okoliczności, w jakich do niej doszło.

Międzynarodowy Instytut Studiów Strategicznych w opublikowanym w Londynie raporcie za rok 2008 stwierdził, że "zawrotny wzrost zakupów broni w Rosji przez Wenezuelę doprowadził w pewnym sensie do destabilizacji w regionie". Wenezuela uzasadnia je zwiększającą się groźbą inwazji ze strony Stanów Zjednoczonych. Przypomnijmy, że chodzi tu m.in. o zakupy samolotów Suhoj, helikopterów i karabinków kałasznikow. Raport stwierdza, że Wenezuela zamierza zbudować u siebie zakłady produkujące amunicję do karabinków kałasznikow oraz zakupić w Rosji łodzie podwodne.

Natomiast rosyjski "Kommersant", powołując się na dyrektora Russian Technologies, napisał, że trwają rozmowy rosyjsko-wenezuelskie na temat zakupu przez Caracas systemów przeciwlotniczych, samochodów opancerzonych i samolotów bojowych. Informacja ta ukazała się w tym samym czasie, kiedy dwa superbombowce rosyjskie wracały z lotów próbnych nad morzem Karaibskim. Niektóre agencje prasowe uznały ten fakt nawet za początek nowego rozdziału w relacjach rosyjsko-wenezuelskich – "sojuszu strategicznego" między obu państwami w odpowiedzi na instalację tarczy antyrakietowej w Polsce. I chociaż Hugo Chávez podkreślił, że "obecność samolotów rosyjskich w Wenezueli jest zapowiedzią, że Rosja jest z nami i nie tylko Rosja, ale także wiele innych krajów świata", to według politolożki Oksany Antonienko, "Rosja nie uważa Wenezueli za swojego głównego partnera w regionie jak Brazylię i Chile. Rosja chce jedynie wysłać informację do Waszyngtonu, że jeśli Amerykanie zamierzają zagro-

zić jej odwodom (Gruzja), to Rosja również zrewanżuje się tym samym Stanom Zjednoczonych".

"Rosja nie wyrzeknie się swoich stref wpływu" – mówi prezydent Dmitrij Miedwediew. Wyraźnie daje do zrozumienia, że nadszedł czas, aby wykorzystać plejadę polityków latynoamerykańskich nie kryjących swojej wrogości do USA. W połowie września 2008 roku, do Ameryki Łacińskiej udał się nadzorujący energetykę, wicepremier Igor Sieczyn. W tym samym miesiącu minister ropy i gazu Boliwii oświadczył, że Gazprom z francuskim Totalem zainwestują w złoża gazu w Boliwii 4,5 mld USD. Początkowo (2002 rok), w wydobywanie gazu w prowincji Tarija miały inwestować koncerny powiązane z USA (chodziło o dostawy gazu ciekłego do Kalifornii przez porty chilijskie lub peruwiańskie). Ale dwa lata temu Evo Morales ogłosił nacjonalizację złóż gazu. Wówczas do gry wchodzi Gazprom, zapowiadając kilkumiliardowe inwestycje. Do podpisania porozumień doszło zaraz po wydarzeniach w Gruzji. W przyszłości Brazylii, główny odbiorca gazu boliwijskiego, musiałaby liczyć się z Gazpromem. Tymczasem Brazylii, dzięki pomocy amerykańskiej, dokonała odkryć przebogatych pokładów ropy naftowej i gazu na swoim wybrzeżu. Kłopot w tym, że są one położone na dużych głębokościach, ale są szanse na to, aby kraj ten stał się nową potęgą naftową w XXI wieku.

Menadżerowie Gazpromu omawiali także w Caracas, we wrześniu br., możliwości rozszerzenia kontraktów na eksploatację niedawno znacjonalizowanych złóż ropy w delcie Orinoko. W czasie swej niedawnej wizyty w Moskwie prezydent Wenezueli poruszył sprawę budowy wielkiego gazociągu przebiegającego przez całą Amerykę Południową, dzięki któremu kraj ten, dzięki pomocy Rosjan, mógłby rozszerzyć swe wpływy na cały kontynent. Gazprom zaś miałby szanse na zwiększenie, poza Europą, zależności innych krajów od swoich dostaw energii.

Nikaragua, która jako pierwsza w świecie uznała niepodległość Abchazji i Osetii Południowej, otrzymała od koncernu InterRAO JES propozycję pomocy w budowie elektrowni wodnych w Nikaragui. W dowód wdzięczności prezydent Daniel Ortega zapewnił Rosjan, że mogą liczyć jako

pierwsi na koncesje na poszukiwanie złóż ropy i gazu na szelfie nikaraguańskim.

Znany komentator prasowy "Miami Herald", Andrés Oppenheimer, postawił pytanie – czy nowa rywalizacja między Stanami Zjednoczonymi i Rosją pobudzi nowy wyścig o zdobycie sojuszników w Ameryce Łacińskiej? Wenezuela zapowiedziała wcześniej zakupy broni w Rosji na ogólną sumę 4,5 mld USD w ciągu 4 lat. "Rosja wraca jako supermocarstwo światowe" – powiedział Chávez. Rząd Brazylii przystąpił do wdrażania nowego planu produkcji broni, który według ministra do spraw strategicznych Roberto Mangabeiry Ungera zakłada współpracę z Rosją w produkcji samolotów bojowych i wyrzutni raketowych. Rosyjskie plany budowy bazy wojskowej na Kubie pozostają w sferze spekulacji, jednak już w lipcu 2008 r. sprawę tę podnosiły "Izwestia" i agencja "Nowosti". Bez względu na to, czy stanie się to rzeczywistością czy nie, wojna psychologiczna rozpoczęła się.

Andrés Oppenheimer uważa, że są to złe wiadomości dla Ameryki Łacińskiej. Można argumentować, że nowa "zimna wojna" zmusiłaby Waszyngton i Moskwę do zwrócenia większej uwagi na region, a to pozwoliłoby niektórym krajom włączyć się do tego wyścigu z myślą o własnych interesach. Ale ryzyko wydaje się być większe od potencjalnych korzyści. Ameryka Południowa już zwiększyła swoje wydatki zbrojeniowe o 33% w stosunku do roku 2000. Rywalizacja supermocarstw prowadziłaby do dalszego wzrostu wydatków na wojsko, zwiększenia napięcia w regionie, ograniczenia inwestycji i wzrostu zasięgu ubóstwa.

Każdy polityk latynoamerykański chce być Obamą

Barack Obama stał się marką. Stany Zjednoczone zadziwiły świat olbrzymią witalnością swej demokracji, zdolnością odnowy przywództwa i instytucji. 133 miliony wyborców zademonstrowały wolę wyjścia z zapaści gospodarczej, prowadzonych dwóch wojen, słabnącego wizerunku kraju za granicą, pogłębiających się nierówności społecznych w "erze republikańskiej", znalezienia środków w walce z "deregulacją kapitalistyczną" i arogancją w polityce zagranicznej. Partia Demokra-

tyczna skupiona wokół Baracka Obamy przeżyła głęboki proces odnowy. "Obamizm" staje się produktem pożądanym w Ameryce Łacińskiej. Ignacio Walker, działacz chadecki i były minister spraw zagranicznych Chile nawołuje "pokolenie Obamy" do przejęcia kontroli nad partią. Inny działacz chadecki – Claudio Orrego, wzywa "pokolenie Obamy" do rozpoczęcia walki, której nikt nie chce rozpocząć. W prawicowej Niezależnej Unii Demokratycznej (Chile) mówi się o możliwości objęcia przywództwa partii przez Antonio Kastę – "białego Obamę".

Prezydent-elekt należy do pokolenia czarnych polityków, którym obca jest segregacja i agresywne formy działalności Afroamerykanów.

Pastor Jesse Jackson, jeden z głównych eksponentów politycznych wspólnoty afroamerykańskiej, prekandydat w wyborach prezydenckich 1984 i 1988 roku, powiedział przy jednej okazji, że Barack Obama "powinien przestać działać, jakby był białym". Chodzi o to, że dla wielu osób w Stanach Zjednoczonych, Obama nie jest wystarczająco czarny, przynajmniej w sensie tradycyjnym. Zazwyczaj politycy afroamerykańscy pochodzą bowiem z kręgów walczących o prawa obywatelskie, są aktywistami religijnymi i upatrują w rasizmie główne źródło problemów. Obama należy do innego pokolenia polityków, studiował z białymi, wyróżnia się zmysłem koncyliacyjnym. Jeśli mówi o kolorze skóry, to robi to bez agresji.

Shirley Jackson, socjolog w The National Association for Ethnic Studies uważa, że: "Obama wie doskonale, że jego kariera nie jest budowana w stylu politycznego "wóźbity", jaki był udziałem wielu jego czarnych poprzedników, a swojej kariery politycznej nie oparł na kolorze skóry".

Barbara Howard, działaczka Congress of Racial Equality, dodaje, że fakt, że był dzieckiem czarnego ojca i białej matki "otworzył przed nim zupełnie inną perspektywę. Nie wzrastał on w przekonaniu, że wszyscy biali są zli". Ponadto jego pokolenie nie zajmowało się segregacją rasową, ustawami Jima Crowa czy nierównościami społecznymi, a dostępem do oświaty i bezpieczeństwem. Leon Bynum z Uniwersytetu Columbia podkreśla, że Obama postawił na ideologię, a nie na różnice rasowe, regionalne czy etniczne. W ten sposób stał się politykiem "post-rasowym", czują-

cym się swobodnie w środowisku i czarnych i białych, co nie wyklucza, że w przekonaniu niektórych jest postrzegany jako zdrajca.

Joel Aberbach z Uniwersytetu Kalifornia uważa, że głosy oddane przez Latinoamerykanów miały w ostatnich wyborach znaczenie decydujące. Zazwyczaj głosowali oni na republikanów. O tym, że postanowili oddać swoje głosy demokratom zdecydowało m.in. nieprzyjęcie ustawy imigracyjnej, regulującej pobyt w USA milionów imigrantów latinoamerykańskich oraz wysokie bezrobocie, jakie ich dotknęło w północnowschodnich stanach USA.

Ameryka Łacińska – zapomniany kontynent

Na początku swego urzędowania, G. W. Bush zapewniał, że Ameryka Łacińska zajmować będzie w jego polityce ważne miejsce. Po 11 września 2001 roku zmieniły się jednak priorytety. Z każdym rokiem rosła w regionie fala antyamerykanizmu, a w szczególności dezaprobata dla polityki uprawianej przez prezydenta USA. Była ona może mniejsza w krajach o silniejszych instytucjach demokratycznych. Jej rezultatem było m.in. powstanie osi Wenezuela-Kuba-Ekwador-Boliwia-Nikaragua, pod przywództwem Hugona Chaveza, a zasilana bogactwem naftowym Wenezueli.

Według Jamie Darembuna, dyrektora Centrum Studiów Latinoamerykańskich Instytutu Hudsona, przed Obamą stoją dwa wyzwania. Oba wymagają podjęcia natychmiastowych decyzji. Pierwsze - to stosunek do polityki uprawianej przez Hugona Chaveza, której częścią są zbrojenia na wielką skalę oraz bliskie związki Rosją i Iranem. Drugie wyzwanie, to bieda i olbrzymie nierówności w podziale dochodu narodowego w regionie. Zagadnienie o tyle trudniejsze, że USA stoją przed bardzo ograniczonymi możliwościami zwiększenia pomocy gospodarczej i zawierania z krajami regionu nowych układów o wolnym handlu. Barack Obama będzie też musiał podjąć szereg decyzji o charakterze wewnętrznym (dotyczących granicy, imigracji, bezpieczeństwa wewnętrznego i regionalnego, zwalczania przemytu narkotyków, przestępczości zorganizowanej), lecz mających reperkusje w relacjach USA-Ameryka Łacińska. Region może czuć się zaniepokojony stanem gospodarki amerykańskiej i zapowiada-

nymi przez Obamę działaniami ochronnymi (protekcjonistycznymi), jego deklaracjami o rewizji układów o wolnym handlu. Jednym słowem, będzie popierał wszelkie działania na rzecz stabilizacji, bezpieczeństwa w regionie i świecie.

Czy dojdzie do spotkań Baracka Obamy z przywódcami Iranu, Wenezueli i Kuby?

Deklaracje zapowiadające możliwość takich spotkań składał prezydent-elekt w czasie kampanii wyborczej. Są przynajmniej trzy powody wskazujące na to, że Barack Obama nie będzie ryzykował żadnych posunięć, mogących narazić na szwank nie tylko bezpośrednie relacje z tymi krajami. Po pierwsze, wszystko wskazuje na to, że wypowiedź Baracka Obamy w czasie kampanii prezydenckiej nie była należyście przemyślana. Po drugie, jest niemożliwe, aby siadł do dialogu z przywódcami Iranu, Wenezueli lub Kuby bez sformułowania określonych warunków. A te będą określone przez przyszłego sekretarza stanu, który z pewnością będzie prezydenta do tego zniechęcał. Po trzecie, Obama będzie chciał ponownie kandydować w wyborach 2012 roku. Nie może zatem antagonizować przeciw sobie wyborców np. z hiszpańskojęzycznej Florydy, którzy pomogli mu wygrać ostatnie wybory. Otrzymał tam przecież 57% wszystkich głosów, co było najlepszym osiągnięciem demokracji od wyborów 1980 roku.

Czego zatem można spodziewać się po Obamie? Być może, zechce on spełnić obietnicę zniesienia restrykcji na podróże i przelewy na Kubę oraz zmniejszy stopień napięcia w relacjach z Wenezuelą z uwagi na Szczyt Ameryk w kwietniu 2009 roku na Trynidadzie-Tobago.

Szybko jednak może się wyjaśnić, że przywódca Iranu, Wenezueli i Kuby nie są bardzo zainteresowani poprawą relacji ze Stanami Zjednoczonymi, ponieważ chcą utrzymywać stan napięcia z Waszyngtonem, aby tym usprawiedliwiać swój autorytaryzm i konieczność pozostawania u władzy.

Chile nie powinno się niepokoić ewentualną rewizją układu o wolnym handlu z USA

Do takiej konkluzji doszedł Mateo Budinich, prezes Chilijsko-Północnoamerykańskiej Izby Handlowej (wywiad opublikowany w "El Mercu-

rio" z 11.11.2008). Jego zdaniem, zapowiadana w czasie kampanii Baracka Obamy możliwość rewizji układów o wolnym handlu (USA mają 14 układów o wolnym handlu) dotyczyła NAFTA. Sam Barack Obama jako senator głosował przeciw takiemu układowi z Ameryką Środkową, ale był za układem z Peru. W trudnej sytuacji na rynku pracy w USA, wiele osób doszukuje się jej źródeł w zawartych układach o wolnym handlu. Stawia się pytanie, czy rynek amerykański w zakresie zatrudnienia i ochrony środowiska jest konkurencyjny w stosunku do innych rynków. Tani dolar spowodował, że USA zaczęły z powrotem eksportować kurczaki. Czy to jednak potrwa dłużej w perspektywie drożającego dolara?

Mimo spowolnienia rozwoju gospodarki amerykańskiej w ostatnim czasie, dane za trzy kwartały br. wskazują, że chilijsko-amerykańskie obroty handlowe zwiększyły się o 62% w stosunku do tego samego okresu 2007 roku. Obroty wyniosły 14,9 mld USD (eksport USA do Chile wzrósł o 123%, a import – tylko 18%).

Przed samym wyborem na prezydenta, Barack Obama spotkał się na obiedzie z 20 największymi przedsiębiorcami z Ameryki Południowej. Ze strony chilijskiej obecny był prezes Banco de Chile – Andrónico Luksic. Symptomatyczne, że spotkanie z przedsiębiorcami poprzedziło rozmowy z przywódcami państw regionu.

Niedługo potem, Andrónico Luksic, jako jedyny przedstawiciel Ameryki Łacińskiej, był uczestnikiem dorocznego spotkania Rady Doradczej Burmistrza Szanghaju. Jego wystąpienie było, według Jeffreya Sachsa, głównym wystąpieniem przed 100 wybitnymi osobistościami gospodarczymi świata. A tematem, co mogło być do przewidzenia, działania podjęte przez rząd Pinocheta dla zwalczania skutków kryzysu z lat 1982-1984.

Latynoamerykańskie instytucje ekonomiczne o obecnym kryzysie finansowym w świecie

Z inicjatywą w tym zakresie wystąpiły w czerwcu br. m.in. cztery instytucje chilijskie, trzy hiszpańskie i dwie amerykańskie. Rezultaty analizy zostały ujawnione w listopadzie 2008 roku, z okazji Międzynarodowego Dnia Wolności. Chodziło o obalenie, głoszonego przez niektórych populistycznych polityków (ale nie tylko, bo wpisał

się w ten głos także prezydent Francji Nicolás Sarkozy), mitu o "upadku muru kapitalistycznego". Prezydent Chile Michelle Bachelet użyła określenia "zadufania" kapitalistycznego. Analiza jest zatytułowana: "Wolność gospodarcza – najlepszą drogą do zwalczania kryzysu".

Według autorów analizy, przyczyną kryzysu nie są błędy popełnione przez rynek, ale błędy popełnione przez państwo. Kredyty hipoteczne były skutkiem błędnej polityki państwa zachęcającej do ich zaciągania mimo braku odpowiednich oszczędności kredytobiorców. Państwo nie wywiązało się też ze swojej roli regulatora rynkowego poprzez zagwarantowanie niezbędnej transparentności i wyposażenie instytucji finansowych w narzędzia pozwalające określić skutki ich złych decyzji.

Autorzy analizy przekonują, że łatwiej będzie wyjść z obecnych problemów krajom, w których są większe swobody gospodarcze, a polityka gospodarcza elastyczniejsza. Dowodem na to jest następujące porównanie: w roku 1700 dochód narodowy na jednego mieszkańca Ameryki Łacińskiej wynosił 527 USD. W tym samym czasie, dochód ten na jednego mieszkańca Kanady i USA wynosił 511 USD (mieszkańcy zachodniego wybrzeża żyli głównie z połowów wielorybów). W roku 2001, dochód na jednego mieszkańca Kanady i USA był już o 371% wyższy od średniego dochodu na jednego mieszkańca Ameryki Łacińskiej.

Cytowany przez "El Mercurio" Rocío Guijarro (z CEDICE, Wenezuela) uważa, że obrona podstawowych zasad gospodarki wolnorynkowej ma znaczenie fundamentalne, choć bardzo trudne, bo "zawsze będą nas nazywać sojusznikami imperializmu lub płatnymi agentami CIA".

Martin Krauze z argentyńskiej CIIMA twierdzi, że przekonanie o tym, że kryzys kapitalizmu wymaga większej interwencji ze strony państwa, skłoniło rząd argentyński do podjęcia bardzo niebezpiecznej decyzji o upaństwowieniu funduszy emerytalnych.

Cristian Larroulet, znany ekonomista związany z chilijską pravicową Libertad y Desarrollo uważa, że "prowadzona obecnie krytyka wolnego rynku jest powodowana ignorancją lub świadomym propagowaniem idei socjalistycznych".

Czy Stany Zjednoczone są przygotowane na świat post-USA?

Na to pytanie stara się odpowiedzieć Francis Fukuyama w specjalnym wywiadzie dla "El Mercurio", opublikowanym 20 lipca 2008 roku.

Według Fukuyamy, zaczyna pojawiać się świat wielobiegunowy. I nie chodzi tu o dekadencję Stanów Zjednoczonych. USA pozostaną dominującą potęgą w świecie, ale takie kraje jak Rosja, Chiny, Indie i kraje Zatoki Perskiej rozwijają się szybciej, podczas gdy Stany Zjednoczone popadają w recesję. Rośnie zadłużenie USA, a wymienione kraje akumulują olbrzymie ilości dolarów. Ten rodzaj akumulacji rezerw, w krótkim czasie, nie prowadzi do zmian w układzie sił, ponieważ nie przekłada się na wzrost siły wojskowej. Jest jeszcze drugi ważny aspekt pozostający w ścisłym związku ze stosunkami międzynarodowymi. Świat XX wieku był zdominowany przez silne, scentralizowane państwa, jak cesarska Japonia, nazistowskie Niemcy, Związek Radziecki i im podobne. Natomiast świat dzisiejszy został zdominowany przez państwa słabe lub upadające, w których narzędzia władzy, w szczególności wojskowej, dobrze nie funkcjonują.

Czym tłumaczyć powstanie świata słabych państw? Francis Fukuyama uważa, że w miarę rozwoju zaczęły mobilizować się nowe grupy społeczne, dotąd formalnie odsunięte od udziału we władzy. Taki jest przypadek szyitów w Libanie. Z podobną sytuacją mamy do czynienia w Boliwii i Ekwadorze, gdzie dotąd odsunięci od władzy tubylcy domagają się w niej udziału.

Ten świat słabych państw powoduje poważne implikacje dla USA, które na swoje siły zbrojne wydają tyle, co cały pozostały świat łącznie. Mimo to, w ciągu pięciu lat nie udało się spacyfikować Iraku. Okazuje się, że nie można stosować twardej siły dla stworzenia instytucji prawnych gwarantujących demokrację i stabilizację polityczną. Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych powinna być także swego rodzaju działalnością socjalną. Sprzeciwiający się dominującej roli USA – Bractwo Muzułmańskie, Hamas, Hezbollah, Iran, a także populistyczni przywódcy w Ameryce Łacińskiej Hugo Chávez, Rafael Correa czy Evo Morales doszli do władzy, ponieważ zaproponowali bezpośrednie usługi socjalne ludziom biednym.

Stany Zjednoczone – według Fukuyamy – proponują innym krajom tylko wolny rynek i demokrację, a to nie interesuje ludzi biednych, którzy są rzeczywistym komponentem w walce o władzę i wpływy na świecie. Czy wobec tego, stać jest USA na ułożenie sobie relacji ze światem bez narzucania swej hegemonii?

Kraj, który dysponuje najwyższymi technologiami na świecie, trudno spotykanym gdzie indziej duchem przedsiębiorczości, elastycznym rynkiem pracy i w zasadzie silnymi instytucjami finansowymi, mimo ich przejściowych trudności, ma też ciągle najlepsze możliwości przyjmowania nowych rzesz imigrantów. Jego słabości to spadająca jakość sektora publicznego, trudności w zrozumieniu przez Amerykanów świata zewnętrznego oraz spolaryzowany system polityczny, niezdolny do znajdowania rozwiązań dla tych problemów. Jakiegokolwiek zamknięcie się Stanów Zjednoczonych na świat byłoby szkodliwe dla nich samych i dla reszty świata.

Francis Fukuyama – "Przepaść między Ameryką Łacińską a Stanami Zjednoczonymi"

Jest to tytuł ostatniej publikacji wydanej pod jego redakcją, w której znalazły się opracowania m.in. Riordana Roetta i Francisco Gonzaleza, profesorów Wydziału Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Johna Hopkinsa. W książce zawarta jest analiza przyczyn opóźnień w rozwoju gospodarczym regionu od XVIII wieku do czasów współczesnych. Fukuyama dochodzi do pesymistycznych konkluzji – pogłębiania się przepaści między USA i regionem oraz niepokojących rezultatów rządów populistycznych.

Zły system podziału dochodu w Ameryce Łacińskiej jest źródłem nierówności i problemów społecznych w regionie. Częścią tego kontekstu jest chociażby skala przemocy, jaką obserwujemy ostatnio w Boliwii. Tak się jednak składa, że w Boliwii nie ma warunków dla lepszego systemu podziału dochodu narodowego. Wysiłki Evo Moralesa na rzecz zmiany konstytucji to w gruncie rzeczy wysiłki na rzecz radykalnej zmiany władzy w Boliwii. Fukuyama nie widzi żadnej możliwości szybkiego wyjścia z kryzysu w tym kraju. Uprawiany przez niektórych przywódców regionu po-

pulizm nie doprowadzi do rozwiązania żadnego z fundamentalnych problemów tych krajów. "Nato-miast Chávez odniesie niewątpliwy sukces w zniszczeniu demokracji w Wenezueli".

Francis Fukuyama pracował nad raportem Rady Spraw Zagranicznych w części dotyczącej stosunków z Ameryką Łacińską i doszedł do wniosku, że "w przyszłości, te relacje będą coraz bardziej odległe, ponieważ Stany Zjednoczone przede wszystkim nie mogą rozwiązać problemów Ameryki Łacińskiej i wszelkie oczekiwania w tym zakresie są błędne. Ameryka Łacińska będzie musiała bardziej oprzeć się na swoich siłach".

Wydarzenia wokół Boliwii potwierdziły słabość wszystkich organizacji regionalnych, co powoduje, że współzycie między państwami Ameryki Południowej staje się coraz trudniejsze. Kryzys w Boliwii grozi wybuchem i przypomina atmosferę w Chile z lat 1972-73. Jak i kiedy dojdzie do jego rozwiązania? Można być pewnym tylko niepewności.

Sytuację utrudnia obecność Hugona Chaveza aspirującego do roli przywódcy regionalnego. Chce on określać nie tylko politykę regionu wobec USA, ale tworzyć jednorodne formuły, oparte na jego "boliwariańskiej wizji" dla całego kontynentu.

W swoim postępowaniu przypomina caudillos hiszpańskoamerykańskich z I połowy XIX wieku, obciążających imperializm amerykański za wszelkie zło w Ameryce Łacińskiej. Jego odwaga i prowokacje powodują, że jest niewiele przywódców latynoamerykańskich gotowych mu się przeciwstawić. Dawne, uświęcone zasady nieinterwencji i solidarności latynoamerykańskiej, nie mówiąc już o "Deklaracji z Santiago" z jej "klauzulą demokratyczną" pozostają na papierze. Niektóre państwa regionu zaczynają być utożsamiane z partiami. UNASUR, która z dużym prawdopodobieństwem będzie kierowana przez byłego prezydenta Argentyny, antyamerykańskiego Nestora Kirchnera, może stać się wygodnym narzędziem w rękach Hugona Chaveza, wspieranego z zewnątrz przez siły, które w przeszłości nie sprzyjały pokojowemu rozwojowi całego regionu.

Z tą skomplikowaną społeczną i polityczną rzeczywistością w Ameryce Łacińskiej będzie musiał sobie radzić Barack Obama.